POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX | Warszawa, dnia 5 Listopada 1927 roku | Nr. 45

ANDRZEJ STRUG

8) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Bolek, nie mówiąc słowa, zawrócił konia i z miejsca uderzył w kłus. Podporucznik Łada mógł teraz śmiać się z niego dowoli i opowiadać przed całą zgrają przy obiedzie w Sitowiczach „nieprawdopodobną" historję jego miłości do „takiej" Xeńki. Kretyn, cham, niezdolny do najsłabszego wczucia się w głębiny i subtelności ludzkiego serca.... I tacy oni wszyscy, nasi oficerowie, chluba Polski...

Jego śmiertelna uraza objęła cały pułk. Koledzy, ci ludzie kochani i najlepsi, naraz całą kupą odpadli mu od serca. Jeszcze przed chwilą dałby się porąbać za każdego z nich — co za głupie zaślepienie!... Był człowiek jeden na cały pułk, a i ten już nie żyje. Rotmistrz Barwiński byłby go zrozumiał. On by go pocieszył, coś by on wynalazł, dałby mądrą radę.... Już go niema, zginął, dał głowę za Virtuti dla takiego Puza, a sam nic dla siebie nie dostał, a jak dostanie, to po śmierci i co mu z tego przyjdzie?

Jaka gorycz... I świat zamglił mu się przed oczami. Mocno pociągnął nosem i przełknął słone łzy, które potoczyły mu się po policzkach. Płakać się chciało bardzo nad rotmistrzem i nad sobą samym i nad Xeńką i nad wszystkiem. Zjechał z gościńca i na przełaj przez łąki pomknął ku jezioru. Od pędu szybko obeschły mu oczy. Opamiętał się i wymyślał sobie od ostatnich słów.

Albowiem pomimo dwuch lat wojny i szarży oficerskiej pozostał głupim, rozmarzonym szczeniakiem. Za uczniowskich lat zadużo czytał Słowackiego i Bodlera, zadługo przestawał z siostrami i wogóle był maminym synkiem. Nie miał hartu, zawsze przykro mu było patrzeć na palącą się wieś, bronił od rabunku nietylko chłopów ale i żydów, nie pozwalał poniewierać jeńców, nawet żałował szpiega, kiedy go wleczono pod mur. Ukrywał swoje sentymenty i nadrabiał miną, ale w duszy snać nie był żołnierzem, bo umiał tylko walczyć bez strachu i na tem koniec. Tężyzny w nim nie było, do picia przymuszał się i pił, bo inaczej nie daliby mu spokoju, a Puzo wygnałby go z pułku na złamany łeb. Zazwyczaj uważał się za coś wyższego od wszystkich morowców, ale czasami szczerze wstydził się sam siebie. A teraz z tą Xeńką...

Niespodzianie natknął się na sędziego Łoginowskiego, który siedział nad wodą z wędką, a właściwie czytał książkę. Ochotnik wstał i pozdrowił go regulaminowo, brzęknął ostrogami.

— Ależ panie sędzio... Dzień dobry—Spocznij!

Ucieszył się bardzo, oto nareszcie człowiek z jego sfery. Czemuż, ach czemuż nie wypada z nim pogadać szczerze, wyżalić się.... Mniejsza o dyscyplinę, taki człowiek nigdy się nie zapomni i na służbie zawsze będzie na swojem miejscu, ale to poważny starszy pan, mógłby być jego ojcem — jakże tu zacząć...

I omało nie zaczął wprost odrazu! Coś mu się rozwarło w sercu, rzecz własna, tajemna stała się naraz sprawą największą i jedyną w tej chwili na całym świecie. Znikły wszelkie względy, wszelkie wstydy...

Na szczęście, sędzia przemówił pierwszy i podporucznik opamiętał się natychmiast. Pogadali o pięknej pogodzie i że zima zapowiada się sroga. Nawet w Warszawie od końca października ścisnęły mrozy.

— Jak ci ludzie przezimują... Sporo wyniosło się aż precz za jezioro do betonowych schronów i granatników na starej pozycji. Tam są i piece, ale cóż, z głodu tam wyzdychają, a tu przy nas by się jakoś pożywili żebraniną, bodaj obierzynami, temi niedojadkami i pomyjami z kuchni żołnierskiej. O ile wiem, pułk składał raport....

— Tak, nasz doktór obawia się tyfusu...

— W Jelczynie już były trzy wypadki.

— Wyginie przez zimę i ta ostatnia resztka, co ocalała.

— Wyginie z pewnością, ale pułk musi się też gdzieś podziać i przezimować pod dachem. I nam ciasno, wszystko w kupie, ludzie, konie.... Nasz Puzo... Pan pułkownik, nie mogąc się doczekać instrukcji, zamierza na własną rękę ewakuować na tyły całą ludność cywilną....

— Ludność cywilną — dziwnie to brzmi o takich okropnych nędzarzach... Ach, panie poruczniku....

— Bezwątpienia, serce się kraje, ale cóż począć?

— No tak... Całe siano już poszło dla naszych koni, więc i tę resztkę bydła muszą nam wyprzedać za pół darmo. Niema co, trza ich stąd zabrać...

— Na tyłach jakoś się tam wgniotą i pomieszczą.

— Wszędzie na sto kilometrów za nami nic, tylko ruiny i nędza. To niemieckie etapy i „Frontzony", już niemcy im dogadzali przez całe trzy lata, a nasza wojna ich dojechała. Ileż lat minie, zanim się dźwigną?....

— Muszą przyjąć naszych, przecie to ich rodacy!

— Będą do nich strzelać na powitanie... Smutny ich los...

* * *

Z za płaskiej górki wyjrzały pierwsze chaty Taraszkiewicz. Zbliżała się pora obiadowa i Bolek otrząsnął się na samą myśl, że zaraz ujrzy Xeńkę, krzątającą się po izbie, a tu przed sobą, po drugiej stronie

stołu, trupią twarz francuza, podwiązanego serwetą pod brodą. Postanowił okrążyć wieś nad samem jeziorem i jechać aż do Jelczyna. Pożywi się czemś w czwartym szwadronie i przesiedzi tam do wieczora. Musi się opamiętać, żeby nie zrobić jakiegoś głupstwa, a dalej obmyśli sobie nową kwaterę, co było w zatłoczonych Taraszkiewiczach niemal niepodobieństwem. Mniejsza o to, co sobie francuz pomyśli. Nie zmuszą go żadne potęgi świata, ani nawet sam Puzo, żeby miał dalej patrzeć na tę godną parę. Niech sobie pułk sprowadzi lub wynajmie gdzie chce faceta mówiącego po francusku, żeby zabawiał sojuszniczego kapitana. On już odrobił swoje i chce nareszcie spokoju. Zbierała w nim zawzięta energja — cóż to, czy mu nie wolno bronić swojej swobody?

Z tą swoją swobodą snać jeszcze się nie otrzaskał, gdyż zamiast ulgi poczuł w sobie ostateczne zgnębienie. Pozbył się ogromnego, tragicznego kłopotu, ale zarazem zawaliło się w nim i wszystko, co tylko miał. Nic nie zostało, stał się naraz lekki i pusty, jak puch. Ani poczucie samego siebie, ani jednej myśli w głowie.... Dręcząca samotność na świecie....

Rozpaczliwa ponurość rozesłała się dokoła jak kir. Nudą śmiertelną ziało od czarnych, zimnych wód jeziora; ogrom tej pustej, gładkiej przestrzeni wzbudzał lęk. I wszystko stało się nieprawdziwe i straszne, jak niedobry sen.

Przymknął oczy i poddał się miękkiemu, falistemu chodowi konia. Odrazu zagubił się i zapomniał, gdzie jest. Bał się roztworzyć oczy, żeby nie ujrzeć jakiejś straszliwości, w którą niechybnie zamieniła się cała rzeczywistość. Gdy to zobaczy, zwarjuje...

Kozak zawahał się przez sekundę, zebrał się i skoczył lekko, łagodnie, płaskim szerokim rzutem. Podporucznik gibnął się w tył i mimowoli roztworzył oczy — rów starego okopu. Tuż za rowem między wiklinami na kłodzie, w białym kożuchu, w czarnej chustce na głowie. Skulona, z twarzą osłoniętą rękami....

Podniosła oczy, zerwała się. Podporucznik natychmiast przerzucił nogę przez kark koński i skoczył ku niej. Zwolna odwracała od niego twarz ku jezioru. Odetchnął głęboko, rad, że puściły go jej oczy. Oddychał coraz mocniej i łagodnie, błagalnie pociągał ją ku sobie. Czuł, że się nie opiera. W nieprzebranej wdzięczności przesunął ręką po jej głowie... Czarna chustka uchyliła się, rozwiązała się i spadła. Po raz pierwszy ujrzał cały zarys jej głowy, biały kark. Kosmyki czarnych włosów spadały jej na twarz. Odsłoniło się w niej coś nieznanego, a gdy nań spojrzała, roztajał w uwielbiającem zapatrzeniu. Nigdy jej taką nie widział. Te oczy wciągały, wchłaniały go w siebie dobrocią, nieprzebraną łaskawością. Przez mgłę zawstydzenia roztwierały się ku niemu i zasnuwały się z powrotem jakoweś głębie wołania. Na samem dnie zapalały się w nich ognie tajemne, ziejąc nieprzezwyciężoną pokusą. Gubił się w nowem objawieniu tej urody, w nieogarnionym przepychu jej całości. Już nie Xeńka, śliczna, białoruska dziewucha, to sam wieczysty cud—cud kobiety, tajemny, niezaznany, czarował go i porywał ku sobie, szepcąc jej zamglonem spojrzeniem, rozchylonemi wargami, warem oddechu, miękkością i bezwładem całej lgnącej ku niemu postaci.

— Czemu się odwracasz... Dlaczego nie chcesz na mnie patrzeć?

— Niegodna ja patrzeć na ciebie, panyczu..... Bo ja nieczysta... ja taka.

— Nieprawda! To dola nieszczęsna, to twoja wielka krzywda.... A ty czysta, ty dla mnie jak święta!

— Nie mów tak, panyczu, bo grzech....

— Xeńka, ja ciebie stąd zabiorę... Do mnie na wieś, do dworu, daleko, hen za Warszawą...

— Oj, panyczu, co ty?

Tam moja matka, siostry — będziesz u nas jak w rodzinie... Ja im o tobie opowiem.... One dobre, one wszystko zrozumieją!

— Nie będzie tego za nic — tu mi zginąć podle... Tyle naszego narodu przepadło, niech i ja przepadnę! Ale zanim zdechnę, jak ta parszywa suka, do końca ja wspominać będę ciebie, jasny panyczu.... ciebie cheruwymie....

— Xeńka — czemużeś ty się odemnie odwracała? Czemużeś mi dobrego słowa nie dała? Wszystko by poszło inaczej... Z francuzem bym pogadał, onby ci dał spokój, przecie nie rabynia ty u niego... .

— O wolności my dawno zapomnieli, raby my czyste — gorzej bydła...

— Przecie on człowiek zagraniczny, delikatny....

— Czort on jest... Swynia nieczysta! Takiego ja jeszcze nie widziała! Na tylu, co mnie....

Podporucznik oprzytomniał — zdjął go przenikliwy ból. Zasłonił jej usta. Po co mówić? Słowa są straszne.... Jedno słowo może zbudzić ze snu, może pohańbić cud.

— Milcz, Xeńka... nie mów! Jak ty piękna.... Strach patrzeć..... Uwielbiam cię.... Ty dla mnie pierwsza i jedyna... . na zawsze, na całe życie...

Przesunął dłonią po jej głowie, po twarzy, w zachwycie, w zdumieniu, patrząc w straszną bliskość tych oczu — jej oczu. Nie do wiary było, że trzyma ją w objęciu i przyciska do siebie, tę samą, zawsze cudzą i niedostępną. Nie poznawał jej, zbliska stała się inna. Była zjawą jego młodzieńczych snów, to jej oczy wyłaniały się ku niemu w zapamiętałych godzinach rozmarzenia, między wierszami Słowackiego, Baudelaire'a. Odkąd zapamiętał, nosił ją w sobie. Ona to budziła go po nocy najcichszym szeptem i znikała. Snuła się w woni wiosennych fijołków, w księżycowych wieczorach. Była przeczuciem, tęsknotą, upragnieniem, najwyższem jego szczęściem.

— Więc to ty?

Jej oczy ogromne, nienapatrzone promieniały ukochaniem, oddaniem bezgranicznem, wieczystą przysięgą. — Twoja! Twoja! — wołały rozchylone, milczące, rozedrgane wargi.

Jak wówczas gdy ocknięty z opętania snu, wpatrywał się w ciemność, wsłuchany w jej szept i napróżno do niej wyciągał ramiona. Oto się zjawiło, sprawdziło się tajemne, chłopięce wymarzenie...

Przygarnął się do niej bez myśli i bez wiedzy, jak w cudownym śnie — szybko ulatywały w zapomnieniu ostatnie strzępki tego świata i wszystko, co na nim było. Tonęły jak w morzu ciemności obszary jeziora i suche trzciny i ich przejmujący szelest.

(D. c. n.).



JULJUSZ GERMAN

4)

J A C E K

Nikodem zaniemówił na dobrą chwilę. Usiadł ciężko w fotelu, wybałuszył oczy. Potem zaczął „trząść się z oburzenia". Nikt nie może mu odmówić zrozumienia i pobłażliwości dla wszelkich fantazji, ale człowiek z podobnemi zamysłami kwalifikuje się poprostu do domu zdrowia! Skarcony przez pana Władysława dość brutalnie, uderzył w inne tony. Oto przywiązał się głęboko i szczerze do obu Karzymowskich, zwłaszcza do „prześlicznego Jacka". Cóż, był zawsze opuszczonym, samotnikiem bez rodziny. Jakże można być tak bezwzględnym egoistą i odbierać mu tę odrobinę serdecznego ciepła, na które czekał tak długo....

— Jacka naturalnie ci zostawię — rzekł pan Władysław, zsuwając brwi. — I powierzam go twojej opiece. Dasz mi najuroczystsze słowo honoru, że nie powiesz mu, po co jadę. Nie powiesz, dopóki nie wrócę. Bo to przecież kwestja dwóch, trzech miesięcy....

Nikodem jęczał i biadał. Wszystko wali się na jego barki „pochylone wiekiem i zawodami". Interesy w obecnej chwili nader niefortunnie splątane. I znowu opieka nad chłopakiem, który nietylko po praszczurze Piotrze ale i po ojcu wziął dziedzictwo przeróżnych szaleństw. „Ach ten impet, ten impet przeklęty!"

Rozmowa skończyła się jednak w rzeźwiejszym już nastroju. Pan Władysław, wiedząc, że swoim zwyczajem od raz powziętej decyzji za nic nie odstąpi, rozpogodził się w dawno nieodczuwanem zadowoleniu. Czuł się sobą prawdziwym. Pojedzie się bić, zaczerpnie w stęsknione płuca powietrza, jak najszerszego dechu od pól! Ukrzepi się, wzmocni potężnym rozmachem! Każdy mięsień pręży się ochotą! Przyda się już tam jego ramię! Wróci odświeżony, z zapasem nowych sił, powetuje w dwójnasób „te głupie straty materjalne, o których nie warto mówić...

— Prowadź dalej moje interesy, Nikodemie. Zostało jeszcze coś niecoś z prababczynych klejnotów. Chcę mieć do ciebie zaufanie. Bądź co bądź jesteś moim krewnym i szlachcicem. To miej przedewszystkiem na uwadze, opiekując się Jackiem.

Jacek! Czekała teraz Karzymowskiego najcięższa przeprawa. Nie mógł powiedzieć synowi pełnej prawdy. Żadna siła ludzka nie utrzymałaby tego najdroższego malca w Paryżu, gdyby przewąchał, że ojciec jako żołnierz idzie w pole. I to jeszcze w ułanach! Znał pan Władysław dobrze swojego Jacka! A nie po to przecież wywiózł go do Francji, by w chłopaka może pierwsza kula... Aż zadygotał od wstrząsu zgrozy. Siebie da tej Polsce w opresji, da do ostatniej kropli krwi, ale syna nie da! Sam stanie za obu! Wystarczy! Przed Bogiem, przed najwyższą tajemnicą odpowiada za to życie, co ledwo w wiośnie !

— Nie, nie, synku, nie pójdziesz! — zaciął się w pasji bezmiernego miłowania.

Wziął go w przeddzień wyjazdu na przechadzkę. Przy fontannach na Placu Zgody rzekł od niechcenia:

— Ale, ale... muszę jutro wyjechać do Warszawy....

Policzki Jacka odrazu okryły się łuną. Rozelśniły się oczy, jak gwiazdy ze szmaragdów.

— W sprawach dosyć doniosłych... trochę i rodzinnych... („Jak to ciężko kłamać tym oczom wpatrzonym tak żarliwie"....). Nie będę ci tego wszystkiego tłomaczył. Jesteś jednak jeszcze za mały. W każdym razie sprawy są ważne i możliwe, że mój pobyt w kraju potrwa z miesiąc, dwa... nawet i dłużej....

— A ja? — prośba najpłomienniejsza zadrgała w głosie Jacka.

— Ty zostaniesz tutaj. Nie mogę cię zabrać ze sobą. Niech ci to wystarczy i niech o tem nie będzie już mowy.

Jacek schylił głowę. Zdawało się panu Władysławowi, że w cudnych oczach syna zabłysły łzy. Te łzy krwią żywą odczuł w swojem sercu. Szli teraz przez Avenue des Champs Elysées w stronę Placu Gwiazdy i Łuku Tryumfu. Ulica kipiała ruchem. Wciąż, co krok, oglądały się za nimi kobiety.

— Nie chcę pod żadnym warunkiem, żebyś teraz przerywał studja malarskie. Jeszcze przedwczoraj mówił mi twój „stary", ten brzuchaty Rispot-Dumont, że może być z ciebie tęgi artysta, bylebyś tylko pracował bez wytchnienia. Więc Jacuniu, zakasać rękawy!

— Obrazki, malowidełka... — szepnął Jacek. — A tam... tam wojna i już prawie pod Warszawą...

— I cóż z tego, że wojna i że prawie pod Warszawą? — pan Władysław niby się rozgniewał. — A Szwedów pod Warszawą nie było? Przepędzi się precz to bolszewickie tałatajstwo, zanim się opatrzą! Zresztą gazety przesadzają ,jak zawsze.... Rozejrzę się na miejscu.... z oddalenia wszystko gorzej wygląda.... („Jakże ciężko zdobyć się na ten ton obojętny, nie w aureoli bohaterstwa odejść od dziecka najukochańszego, lecz w ośmie szarej, powszedniej..."). To jedno musisz mi obiecać, Jacku. Będziesz czekał na mnie cierpliwie. Żadnych wyrywań się, awantur. O to cię proszę, to nakazuję. Pamiętaj, — na pół sekundy złamał się głos panu Władysławowi — nakazuje ci ojciec, tobie, jedynemu synowi.... Dotrzymasz?

— Dotrzymam — rzekł cicho Jacek. — Tylko, tatusiu, żeby to nie było bardzo długo...

— No, to dawaj łapę. Tak. Mężczyzna obiecał mężczyźnie. Widzisz, chcę być o ciebie spokojnym....

— A ja o ojca...? — jakie wielkie, przejasne oczy miał Jacek w tej chwili. Już nie szmaragdy, najczystszy błękit nieba.

— Nie bądźże śmiesznym — pan Władysław wzruszył ramionami, a było mu już lekko i swobodnie. — Myślałem, żeś mądrzejszy. Już ty o ojca się nie bój. Nie pierwszyzna mu różne tarapaty. No, dość o tem wszystkiem....

A w nocy wciąż widział nad sobą oczy swego chłopca promienne, rozświetlone przejmującym blaskiem. Jakież niezbadane światy kryją się w tych oczach.... I znowu skłonił się w uwielbieniu i w bezgranicznej miłości przed tajemnicą tego najdroższego mu istnienia, co z niego było, a takie przedziwnie inne.

Rzekł nazajutrz Alojzemu, który pakował kufry, pomrukując markotnie.

— Słuchaj ty naburmuszony niedołęgo, wzrosłeś w Karzymowicach od małego razem ze mną....

— I ma jaśnie pan sumienie zostawiać mnie wśród tych farmazonów, sierotę, a sam na rozdobędę...

— Ej, żebym cię nie trzasnął po uchu! Masz mi pilnować panicza! Pan Nikodem naturalnie dysponuje we wszystkiem... Ale ty jesteś swój! Więc, żebyś mi chłopca krokiem nie odstąpił!

— Co mi jaśnie pan ma jeszcze przykazywać.... Kogoż mam się tu trzymać, jak nie panicza? Do kogo zagadać? Już ja tam przy dziecku przywaruję, tak mi Panie Boże....

— No dobrze, dobrze. Nie krzyw pyska, nie pociągaj nosem! Co jest u djabła? Wyjeżdżam i wrócę, wielka historja... A uważaj także, żeby Jacek żadnych konszachtów z modelkami... rozumiesz?

— Eee, jaśnie panie, to najmniejsza troska. Niby te nagusy u profesora...? Wszystko inne paniczowi w głowie, a nie to. Żadnej jeszcze nie ma do kobiet ciekawości.

— Nie ma jak nie ma, ale zawsze czuj duch! Jeżeliby coś takiego, wtepędy do pana Nikodema... I jeszcze raz, stary... Chłopca mojego mi strzeż!

— Jaśnie panie, bo ryknę... .

— Ryknieszz, jak ci dam po łbie! Cóż ty? Baba jesteś z pod kościoła, żeby beczeć? A niechże cię czort....!

Pan Władysław zagwizdał wesoło. Nie opuszczała go już ta wesołość junacka, rwąca się hucznie w dal nieznaną. Z bujnie radosnym uśmiechem człowieka, który nareszcie wie, dlaczego żyje, wstępował na stopnie wagonu.

— Taki tatuś młody i piękny !— wołał Jacek w zachwyceniu.

Świst lokomotywy. Pociąg ruszył.

— Bywaj mi, mój Jacku!

Kłęby dymu przesłoniły mu wnet i lśniący „ośmiu połyskami" cylinder Nikodema i berecik, którym wymachiwał Jacek, i twarz syna słodką, prześliczną.

Żywemi oczami już jej nie zobaczył, jak nie zobaczył już, olśniony wówczas pewnością przeraźliwie jasną, lip przy wjazdowej bramie swego domu i szuwarów nad stawem w ogrodzie.

II

— Panie i panowie! — Rispot-Dumont stanął w dostojnej i otyłej okazałości w drzwiach obszernej sali pełnej majowego słońca i rojnego młodzieńczego gwaru. — Trochę ciszy, jeśli łaska! Proszę o trochę ciszy!

Oderwały się od kilkunastu sztalug oczy roziskrzone. Skłębiła się wrzaskliwie gromadka malarskich adeptów, popychając się i tłocząc.

— Pyski na kłódkę, całe zbiorowisko! — ryknął jakiś blondas głosem stentora, wymachując groźnie paletą. — Uwaga! Mistrz mówi!

— Więc i ty, Bobie, racz zamknąć paszczę! — krzyknęła zgrabna dziewczyna o drobnej, bladej, delikatnej twarzy z olbrzymią gęstwą loków jasnych jak łan dojrzałego zboża.

Zapadło milczenie. Wszyscy patrzyli natężonym wzrokiem w oblicze „mistrza", sfałdowane niezwykłem namaszczeniem. Patrzyła i modelka, leżąca na wzniesieniu w pośrodku sali, plecami do góry, w pozie, „nimfy pijącej u źródła", zarzuciwszy szybko i niedbale pierwszą z brzegu wzorzystą draperję na swą nagość biało-różową.

— Wracam wprost z zebrania sędziów. Wracam z radością i dumą. Na moją pracownię spadł wielki zaszczyt. Obraz jednego z was, jednego z moich uczniów, został jednomyślnie przyjęty do wiosennego Salonu.

Cisza, że można usłyszeć brzęk much. Zaparte oddechy, łomot serc. Płomienie w twarzach, w oczach żar oczekiwania.

Rispot-Dumont, zadowolony z efektu, obciągnął kamizelkę na wydatnym brzuszku, pogładził pięknie utrzymaną, siwiejącą bródkę.

— Pośród was, moi drodzy uczniowie, mam dzieci dalekich krajów. Niech pamięta ten dzisiejszy szczęśliwiec, że Francja, matka sztuki, pierwsza przygarnęła go na swoje łono. Proszę zbliżyć się do mnie.... — uczynił pauzę, wszystkie oczy zawisły na jego ustach — panie Karzymowski!

(Z wymawianiem tego nazwiska był zawsze kłopot, wypadło to mniej więcej: „Kaszymoki").

Jeszcze dwie, trzy sekundy ciszy. Potem z dziesiątek piersi splątany krzyk zawodu, uznania, zawiści! I wir krzyżujących się głosów już głuszył dalsze słowa „mistrza".

— Całem sercem gratuluję panu, mój młody przyjacielu. Pański obraz „Jeździec w ataku" zdobył, pomimo pewnych dziwactw w pomyśle, powszechny poklask mało pobłażliwych sędziów. Znajdzie honorowe miejsce wśród dzieł artystów zasłużonych, cieszących się powodzeniem oddawna. To jest wyjątkową chlubą dla pana, który, jeśli się nie mylę, masz niewiele więcej, niż lat osiemnaście. Brawo, młody Polaku!

Z lic Jacka krew zbiegła do serca. Przy ich marmurowej bieli pyszniejszym wydał się połysk kruczych pukli, spadających na skronie, przejrzystszym blask wielkich oczu o barwie morza.

Chyląc głowę, ściskał dłoń „mistrza", który poklepywał go po plecach. Jak przez obłok daleki, dobiegały do niego strzępy zdań:— „Temperament i sentyment... zawsze mówiłem.... a koloryt nieco mglisty... i fantazję trzeba przykrócić.... malarz nie jest literatem... powodzenie obowiązuje, mój chłopcze...."

Wyraźniej słyszał urywki rozmów na sali, szumiącej niby ul ogromny

— Do djabła z tymi cudzoziemcami! Nietylko, że zalewają Paryż, ale kradną nam miejsca na naszych wystawach!

— Wszędzie i zawsze protekcja!

— Przystojny laluś wymizdrzył się ładną gębą i już wisi w Salonie!

— Milcz, wielbłądzi ryju! Chłopak ma większy talent, niż wy wszyscy razem, zgromadzenie bawołów! — wrzasnął energicznie blondas zwany Bobem.

— Bob, małpo zielona, kocham cię za to, że jesteś sprawiedliwy! — zawołało jasnowłose dziewczę o delikatnej twarzyczce.

— Naturalnie, baby aż podrygują z radości, że ich bożek górą!

— Babski pupil! Cacany gagatek! Robi karjerę przez spódnice!

— Głupcy! — krzyknęła modelka, zrywając się z estrady, przyczem z najwyższą nonszalancją ukazała wszystkie swoje wdzięki. — Nie wstyd wam wywrzaskiwać takie kłamstwa? Przecież wiecie dobrze, bałwany, że ten chłopczyna nie patrzy na żadną z nas, chociaż ze swoim słodkim pyszczkiem może mieć każdą kobietę, którą zechce! A to wam się nie uda, trzodo obrzydliwców!

— Aha! Fanchette porykuje jak lwica w obronie małego!

— Patrzcie, jaka nimfa rozbestwiona!

— Zwarjowały z tym szczeniakiem!

— No, słuszność słusznością... Szczeniak ma coś w głowie! Tęgi drab!

— Byłby z niego wcale sympatyczny bydlak, gdyby nie te babska!

— Niezły kolega, o cóż chodzi? I siłę ma, ani słowa!

— Grunt, że nasza pracownia zwyciężyła!

— Hip! Hip! Niech żyje „Kaszymoki"!

(Dok. nast.)